EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 2 kwietnia 1933 R. | NR. 14 (27)

Nikczemny obóz

Proroctwo Marxa

Głodówka pod ziemią

Kobiety w dyplomacji

Powrót upiora

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr. Najnowsze książki.

AUTORZY: Wasowski. Szpecht. Krzywicka. Tatarkiewicz. Rygier. Rellemont-Mellerowa. Niedźwiedziński. Kłosowski.

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

KOSZMAR

Coraz to nowe rodzą się formy protestu przeciw upośledzeniu nędzy, bezrobociu. Formy coraz bardziej tragiczne. Ale już do sposobu chyba najbardziej wstrząsającego uciekli się górnicy w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego „Klimontów" i „Mortimer". Dyrekcja tych kopalń postanowiła je zatopić, jako „nierentowne". Robotnicy, nie chcąc dopuścić, do zniszczenia warsztatu ich pracy, pozostali w podziemiach i tam w ciągu szeregu dni głodowali. Przesyłane im w wózkach pożywienie odsyłali na górę nietknięte. Robotnicy, których wywieziono nieprzytomnych na powierzchnię, gdy tylko doprowadzono ich do przytomności, zjeżdżali z powrotem na dół. A na powierzchni — tłum zrozpaczonych żon i dzieci.

Zastanówmy się nad tym obrazem koszmarnym. Straszliwy to i... syntetyczny dokument naszych czasów.

Dziennik wiedeński *Arbeiterzeitung* pisze:

„Pod ziemią rozpoczęli strajk głodowy, zdecydowani raczej umrzeć na dole szybko i radykalnie, niż na górze powoli i na raty. Strajk głodowy był dotychczas ostatnim środkiem protestu więźniów politycznych przeciw niesprawiedliwemu więzieniu, lecz oto po raz pierwszy więźniowie kapitalizmu, robotnicy, przystąpili do strajku głodowego, by zademonstrować przeciw furji niszczycielskiej kapitalizmu za swojem prawem do pracy".

LIGA REFORMY OBYCZAJÓW

W Warszawie powstała Liga Reformy Obyczajów. Oto treść pierwszej odezwy Ligi:

„We wszystkich krajach Europy tworzą się zrzeszenia ludzi, które biorą sobie za zadanie usunięcie rozdźwięku między obyczajami a martwą literą ustaw, między rzeczywistością a nawykami myślowemi, między wymaganiami życia a zastarzałemi formami.

Rozdźwięk ten istnieje nie od dziś, ale pogłębiły go nowe warunki egzystencji. Życie dzisiejsze, w najważniejszych swoich przejawach, wciąż jeszcze — mimo niewątpliwego dążenia do poprawy — opiera się na fałszu, krzywdzie i cierpieniu. Zbyt wiele istnień ludzkich pada ofiarą tego stanu rzeczy, aby można było patrzeć na to obojętnie.

Wśród bolączek współczesnego świata — poza temi, które wynikają z układu stosunków społecznych i gospodarczych — jest wiele takich, które wyrosły z opacznych pojęć i z braku uświadomienia. W tych sprawach już samo zbudzenie świadomości ogółu może mieć rozstrzygające znaczenie.

Wiemy, że i w Polsce są całe zastępy ludzi, podzielających nasze przekonania. Ale podczas gdy czynniki wrogie wszelkim dążeniom do reform, umieją organizować „opinję publiczną", choćby fikcyjną i fałszywą, ale hałaśliwą i nie przebierającą w środkach działania, — inni ludzie, myślący i czujący nowocześnie, są rozproszeni i często nie wiedzą o sobie wzajem, nie wiedzą o swojej liczbie i o swojej sile.

Postanowiliśmy więc stworzyć Ligę reformy obyczajów i wezwać wszystkich, uznających nasze poglądy do współdziałania. Liga ta będzie pozostawała w związku z pokrewnemi organizacjami w innych krajach; jedynie bowiem na gruncie współpracy międzynarodowej można myśleć o rozwiązaniu zagadnień dręczących dzisiejszą ludzkość.

Oto główne nasze zamierzenia i postulaty:

Krzewienie myśli humanitarnej i zasad etyki świeckiej. Reforma wychowania. Prawdziwe równouprawnienie kobiety. Ochrona dziecka. Dążenie do cywilnego ustawodawstwa małżeńskiego. Prawo do macierzyństwa dla każdej kobiety. Ochrona przed niepożądanem macierzyństwem. Tworzenie w całym kraju poradni dla kobiet. Skuteczne i racjonalne zwalczanie plagi poronień, a zarazem dążenie do zmiany „przeciwporonieniowych" paragrafów kodeksu karnego, jako niecelowych i szkodliwych. Uświadomienie seksualne, ochrona od chorób wenerycznych. Zmiana stosunku do prostytucji w duchu abolicjonistycznym (zniesienie reglamentacji). Zniesienie kary śmierci. Porozumienie międzynarodowe między ludźmi o poglądach pokrewnych celom Ligi.

Do tych celów dążyć będziemy:

Przez skupienie ludzi podobnie myślących i zetknięcie ich z sobą wzajem w drodze organizacji ośrodków Ligi; przez zyskiwanie dla zasad Ligi nowych zwolenników w drodze wydawnictw, publikacyj, odczytów i najszerszej propagandy; przez zakładanie instytucyj służących celom Ligi; przez tworzenie opinji publicznej, zdolnej wywierać wpływ na ustawodawstwo.

Zwracamy się tedy do wszystkich, którzy chcą w jakikolwiek sposób współdziałać na tej drodze, aby przystępowali do LIGI REFORMY OBYCZAJÓW".

Odezwę tę podpisali: Boy-Żeleński, Helena Boguszewska, Irena Krzywicka, Wanda Melcer, Marja Morska-Knasterowa, Anna Nałkowska, dr. Zygmunt Radliński, Wincenty Rzymowski, dr. Herman Rubinraut, Wacław Syruczek, Józef Wasowski, Zofja Żeleńska.

Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela Sekretarjat Ligi: Warszawa, ul. Tamka 41 m. 2., telefon 335-41, godz. 3—4-ta.

NIEDOLA URZĘDNICZA

Tygodnik *Jutro Pracy* (Nr. 12-109) ogłasza wyniki ankiety, rozpisanej przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Urzędników R. P. Ankieta dotyczyła stopnia zadłużenia rzeszy urzędniczej.

Materjał cyfrowy, tą drogą zebrany, wymownie ilustruje dzisiejszą sytuację urzędników. Ileż te cyfry mówią o ciężkiej niedoli, o troskach, kłopotach, cierpieniach, a nieraz i tragedjach tysięcy ludzi!

Odsetek niezadłużonych urzędników wynosi tylko 4%! Odsetek zaś zadłużonych ponad 6-cio miesięczne uposażenie wzrósł z 19% w 1930 r. na 23% w 1932 roku. W poszczególnych grupach zarobkowych wzrost wyniósł: dla zarabiających poniżej 250 zł. z 18% na 19%, i dla zarabiających ponad 500 zł. miesięcznie— 20% na 24%.

Niezmiernie ciekawe jest porównanie wysokości zadłużenia z tytułu kredytu towarowego. W poszczególnych grupach zarobkowych przedstawia się, jak następuje: dla zarobkujących do 250 zł. mies. zadłużenie towarowe spadło z 372 zł w 1930 r. na 130 zł w 1932 r., dla zarabiających od 251 zł do 500 zł, z 562 zł na 292 zł i dla zarabiających ponad 500 zł z 881 zł. na 316 zł.

Dane powyższe są wymownym dowodem, że skutki dokonanych obniżek uposażeń odbiły się ujemnie na życiu gospodarczem Państwa. Jest to potwierdzenie stanowiska, jakie w tej sprawie zajmowały organizacje zawodowe od szeregu lat.

Według uzyskanych materjałów, urzędników zadłużonych do 1.000 zł jest 51%, powyżej 1.000 zł do 2.000 zł, wykazało zadłużenie 17% objętych ankietą.

Na 816 nadesłanych odpowiedzi wykazano zadłużenia na ogólną kwotę 1.150.820 zł. 23% tej sumy przypada na zadłużenie z tytułu zaliczek na uposażenie, 33% z tytułu pożyczek w Kasach Koleżeńskich, 14% z tytułu kredytu towarowego, 1% z tytułu nadpłaconych wpisów szkolnych, 4% z tytułu zaległego czynszu za mieszkanie i 25% z tytułu zadłużenia z innych źródeł (w sklepie za żywność, oraz prawdopodobnie pożyczki u lichwiarzy).

Przeciętna kwota zadłużenia na 1 osobę wynosi 1476 zł, na mężczyznę przypada 1621 zł, zaś na kobietę 927 zł.

Przyjmując, że stosunki w dziedzinie zadłużenia kształtują się analogicznie w stosunku do całej masy urzędniczej, dojdziemy do przekonania, że 148.000 urzędników, sędziów i nauczycieli (Mały Rocznik Statystyczny z 1932 r. str. 143), zatrudnionych przez Państwo, zadłużonych jest na ogólną sumę 218 miljonów zł, t. j. kwotę przerastającą miesięczny budżet państwa.

Z dalszych obliczeń wynika, że zadłużenie do wysokości 3 mies. uposażenia posiada 41% urzędników, od 3—6 mies. — 36%, od 6—9 mies. — 14% i ponad 9 mies. uposażenia — 9%.

Wśród urzędników, mających na utrzymaniu liczniejsze rodziny, 32% posiada zadłużenie ponad 6-cio miesięczny dochód.

Oczywiście zadłużenie to musi być przez urzędników spłacane, co stanowi b. znaczne obciążenie uposażeń. Wysokość rat z tytułu zadłużenia, oraz odsetek od pożyczek wynosi 20% — 40% miesięcznego dochodu.

Drugim poważnym ciężarem jest utrzymywanie licznej, bliższej i dalszej rodziny, pozostającej bez pracy. 816 osób, wypełniających ankietę miało na utrzymaniu 213 bezrobotnych, wynika z tego, że na 100 objętych ankietą przypada 39 bezrobotnych, będących na całkowitem utrzymaniu urzędników.

Niezwykle wymowne są odpowiedzi na pytanie, w jakim dziale wydatków przeprowadzono oszczędności po dokonanych obniżkach uposażeń.

Jak się okazuje, redukcją wydatków zostały objęte przedewszystkiem wydatki kulturalno - oświatowe (teatr, kino, książki, czasopisma), następnie zmniejszenie lokalu (najczęściej przez przyjęcie sublokatora), likwidacja życia towarzyskiego, redukcja lub nawet całkowita likwidacja wydatków na tytoń, alkohol, wreszcie ograniczenie wydatków nawet na utrzymanie i odzież.

„Epoka“ jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

NIKCZEMNY OBÓZ

Niemożna ich nazwać inaczej. W politycznem bezeceństwie żadne stronnictwo nie posunęło się dalej. W tumanieniu opinji nikt nie osiągnął takiej wprawy. Jako mistrzom przewrotności, nikt im nie dorówna. Są wzorowo cyniczni. Wszystko, co jest wartością etyczną, usunęli z drogi swego działania. Nie przeszkadza im sumienie, nie hamują ich skrupuły moralne.

W tej chwili dają widowisko rekordowe — wielki popis zbrodniczej demagogji, politycznego fałszu i społecznej deprawacji. Uznali oto, że w ich politycznym interesie leży pochwała Hitlera. To, co czytamy w prasie Narodowej Demokracji o Hitlerze i jego hordach, stanowi naukę najbardziej wymowną, do jakiego znikczemnienia dojść może taka odmiana politycznego gatunku.

Uśmiechnęła im się możliwość przeniesienia szowinistycznej epidemji z Niemiec do Polski. Możliwość gwałtów i pogromów. Tyle razy odgrywali się w robocie żydożerczej, że i teraz zaświtała im nadzieja, iż na tej drodze zdołają naprawić swoje partyjne imprezy.

Uradował ich przewrót nacjonalistyczny w Niemczech, jako zachęcający przykład. I dają do poznania swemu motłochowi, że w taki właśnie sposób należy zmienić stan rzeczy politycznych w Polsce.

Chwalą Hitlera, najbardziej zażartego wroga Polski, który nie ukrywa swoich apetytów zaborczych. Nic to, że chce podważyć Traktat Wersalski, nic to, że organizuje i w Niemczech i na terenie międzynarodowym zamach na Pomorze. Prowadzi walkę krwawą z Żydami i to już wystarcza, by mówić o nim z entuzjazmem.

To jest ich patrjotyzm.

Przyklaskują najpotworniejszym bezprawiom hitlerowskich band — na myśl, że i w Polsce możnaby w taki sposób zagrać na instynktach najniższych.

To jest ich praworządność.

Podoba im się zamach na wolność słowa i wolność sumienia, o którą tu, w Polsce, wołają zakłamanym głosem.

To jest ich demokratyzm.

Z lubością opisują, jak to się w Niemczech prześladuje „obcorasowców“, jak z sali szpitalnej przepędza się lekarzy, z sali sądowej — obrońców, z uczelni — profesorów, a z mieszkań do więzienia — najszlachetniejszych pisarzy, publicystów, działaczów społecznych.

To jest ich kultura.

Nie protestują przeciw mękom prześladowanych, przeciw morderstwom, przeciw torturom średniowiecznym w lochach więziennych.

To jest ich ludzkość.

Zaiste — nikczemny obóz. Głosi pochwałę Hitlera, postaci, którą przyszłość, kiedy choć trochę oczyści się atmosfera moralna świata, będzie wspominała z odrazą i zdumieniem, że człowiek taki mógł choćby przez czas niedługi objąć rządy nad wielkim narodem, którego część popadła w stan moralnego zamroczenia.

Czytamy w *Gazecie Warszawskiej* (z dn. 15 marca 1933 r.): „Sam Hitler, chwytając w cugle rumaka rewolucji, okazał, że poczuwa się w pełni do odpowiedziałalności za „czystość i honor narodowego powstania". Przytaczamy te słowa na wieczną rzeczy haniebnej pamiątkę.

Gazeta wiedeńska *Morgen* pisze:

„Z koszar hitlerowskich rozlegają się nocami nieustannie straszliwe krzyki i jęki. Mieszkańcy sąsiadujący z t. zw. „Domem brunatnym" na Friedrichstrasse, mogli przypadkiem zajrzeć przez wybite okna do piwnicy, służącej za celę więzienną i być świadkami okropności, przed których opisem wzdryga się poprostu pióro. Codziennie wyławiają rybacy ze Sprewy straszliwie zmasakrowane ciała ludzkie, które policja w mgnieniu oka usuwa z widoku. Na porządku dziennym są znęcania się w tej formie, że więźniowie polityczni służą, jako żywe tarcze do ćwiczeń w strzelaniu rozbestwionych, pijanych siepaczy hitlerowskich. Urządzanie fikcyjnych egzekucyj, zdaje się wogóle być ulubionem zajęciem „policji pomocniczej". Wobec tych okropności blednie odmawianie pożywienia więźniom, wijącym się w celach w skurczach głodowych. Znanemu literatowi niemieckiemu, Ossietzky'emu, powybijano kolbą ząb po zębie, podczas jego pobytu w więzieniu w Szpandawie. Tak wygląda „trzecie państwo" Hitlera, opanowane przez bestjalskich katów, zbroczone krwią bezbronnych ofiar, okryte hańbą w obliczu całego świata".

W półurzędowem, wiedeńskiem *Sonn und Montagszeitung* takie jeszcze informacje:

„W Szpandawie, w najstarszem i najokropniejszem więzieniu internowani są wraz z Ossietzky'm męczennicy kultury niemieckiej, jak przewodniczący Ligi praw człowieka, Lehmann-Russbüldt, starzec, któremu nałożono kajdany w ten sposób, że nie mógł się poruszać, któremu rozkazano stanąć na baczność i którego, gdy nie potrafił uczynić tego przepisowo, wywleczono do ciemnego korytarza, gdzie rzuciła się na niego zgraja siepaczy, okładając go prętami. Powieściopisarza Heinza Pol'a, któremu zabrano i podarto nowo napisaną powieść, zmuszono połykać strzępy rękopisu i skakać tak długo, aż padł zemdlony. Ossietzky jest fizycznie zupełnie złamany. Co stanie się z internowanymi, tego nikt nie wie. Mogą oni w każdej chwili zniknąć, gdyż w każdej chwili wedrzeć się mogą do więzienia oddziały hitlerowców i urządzić nad więźniami samosąd".

Oto „czystość i honor narodowego powstania".

Jeżeli o zbrodniach hitlerowców przyszłość wyda sąd należyty, to taki sam wyrok moralny zapadnie na tych, którzy mogli je chwalić i propagować.

Józef Wasowski.

W 50-TĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI KAROLA MARXA

W pięćdziesięciolecie śmierci Karola Marxa należy nietylko uczcić imię wielkiego myśliciela, ale również zdać sobie sprawę, że myśl marksowska przeszła w ciągu półwieku od zgonu swego twórcy ogniową próbę wytrzymałości. Czas, który nieustannie przewartościowuje twory intelektu ludzkiego, nie zniszczył trzonu marksowskiej koncepcji dziejów.

Przedewszystkiem — ostała się *metoda*, którą stosował Karol Marx, by zgłębić prawa rozwoju dziejowego. Djalektyka marksowska jest spowinowacona z heglowską formułą ewolucji. Oryginalność i odrębność myśli marksowskiej polegała na „odwróceniu djalektyki heglowskiej o 180 stopni" — jak określa Engels stosunek Marxa do koncepcji Hegla.

Według Hegla proces myślenia, przekształcony nawet w samoistny podmiot, pod nazwą idei—jest twórcą rzeczywistości. Według zaś Marxa—przeciwnie—idea jest materją, odbitą i przetworzoną przez ludzki intelekt. „Mistyfikacja", jakiej djalektyka uległa w rękach Hegla, bynajmniej nie zmienia faktu, że on właśnie pierwszy wyczerpująco wyłożył ogólne formy jej ruchu. U Hegla metoda djalektyczna — jak się wyraził Marx — stoi na głowie, Marx zaś „postawił ją na nogi i „wyłuskał racjonalne ziarno z mistycznej skorupy".

W swej heglowskiej postaci djalektyka stała się w drugiej połowie 19-go stulecia — modą. Wydawało się jej wyznawcom, że upiększy rzeczywistość. W swej racjonalnej, marxowskiej formie stała się początkowo postrachem mieszczaństwa i jego doktrynerskich rzeczników. W pozytywnem rozumieniu rzeczywistości ustalała bowiem jednocześnie moment negacji, nieuniknionego zaniku aktualnej rzeczywistości, ujmując każdą formę socjalną od strony dynamicznej, w ciągłości ruchu i przemijania. Djalektyka w kształcie, nadanym jej przez Karola Marxa niepokoiła umysły współczesnych, była bowiem w swej istocie krytyczna i rewolucyjna.

Djalektyka marxowska, czyli odwrócona i „postawiona na nogi" metoda Hegla — stanowiła bezcenny wkład w dziedzinie metodyki badania. Nauka — zwłaszcza socjologiczna i ekonomiczna — rozszerzyła dzięki niej sferę swych możliwości krytycznych i odkrywczych.

Do podstawowych twierdzeń Marxa należy teorja pracy nieopłaconej i nadwartości oraz teorja koncentracji. W ostatecznym wyniku prowadzą one do wniosku, że te same prawa, jakie doprowadziły do powstania i jakie rządzą rozwojem ustroju kapitalistycznego — muszą również spowodować jego zniknięcie. Będzie to autodestrukcja.

Ustrój stwarza sam swoją własną negację z fatalizmem, cechującym przemiany zachodzące w przyrodzie. Marx wskazał na fakty dokonywującego się samozniszczenia. Są niemi — kryzysy nadprodukcji, lub raczej podkonsumcji, które nabierają charakteru chronicznego. Rujnują one ustrój kapitalistyczny, ale są z nim nieodłącznie związane. Kryzysy posuwają naprzód proces pauperyzmu. „Kapitalizm traci zdolność władzy, ponieważ nie potrafi już zapewnić swym niewolnikom żywności, która pozwoliłaby im przetrwać niewolę. *Pozwala robotnikom upaść do stanu, w którym musi ich sam karmić, zamiast być przez nich karmiony*". Ten paradoks — któremu na imię bezrobocie — obarcza ustrój rosnącym ciężarem, pod którym uginają się i trzeszczą wiązania społeczne.

Marx nie wysuwa gwałtu, jako jedynego środka przemiany, ale również nie wyklucza go. „Siła — jest akuszerem każdego rodzącego się społeczeństwa". Fałszywa czułostkowość jest szkodliwa. Cierpienia są nieodzownemi atrybutami rozwoju. „Gdzie niema antagonizmu i walki — tam niema postępu". Marx potępia reformizm filantropijny i propagandę pokoju społecznego. Uznaje tylko takie reformy, które nie zmierzają do „naprawy" istniejącego ustroju, lecz przyspieszają zmianę, „skracając i łagodząc męki porodowe".

Od prądów socjalistycznych 19 wieku marxizm odżegnał się przedewszystkiem deklaracją wyłącznie *robotniczego* nastawienia. Był to rys, nadający mu swoistą fizjognomję i stanowiący olbrzymią siłę. To jest jedną z przyczyn, że w przeciwieństwie do innych systemów socjalistycznych, które oddawna zdyskredytowały się i ulotniły — zachował marxizm swoją moc i ożywa w nowych formach. Socjaliści 19-go stulecia obejmowali rozlewnym humanitaryzmem całą ludzkość. Marx podniósł antagonizm między posiadaczami a proletarjatem do potęgi *prawa*. Nadaje mu nazwę walki klas, czyniąc z niej element organiczny postępu. „Walka klas" była hasłem, które przyczyniło się do rozprzestrzenienia ideologji Marxa, gdyż nawet ci, którzy ani słowa nie rozumieją z jego teoryj — a więc prawie cała klasa robotnicza — nie zapomną tej formuły. Wystarczy ona, by wciąż utrzymywać wysokie ciśnienie w kotle historji.

Marx nie był „wynalazcą" swej teorji ani „dobroczyńcą ludzkości", którego utopje miały zbawić świat. Zbudował swą koncepcję z elementów, których dostarczyły mu zdobycze myśli naukowej i rzeczywistość socjalno-ekonomiczna wysoko uprzemysłowionego kraju, jakim była Anglja. Anglja dostarczyła Marxowi materjału do zbadania istoty kapitalizmu. Francja z jej przeszłością rewolucyjną, klasyczny kraj przewrotów społeczno-politycznych, odsłoniła przed Marxem rolę i mechanizm starć socjalnych. Niemcy wreszcie, za czasów Marxa zacofane pod względem zarówno ekonomicznym, jak i społecznym — wniosły do pracy autora „Kapitału" cenny wkład teoretycznej myśli i metod badania naukowego. W ten sposób marxizm zużytkował i stał się syntezą zdobyczy kulturalnych trzech przodujących krajów, na których podłożu powstała teorja walczącego proletarjatu.

Praca naukowa Marxa zmobilizowała przeciw sobie nietylko ówczesnych przedstawicieli wiedzy oficjalnej, ale również „czynniki urzędowe", które zadecydowały o wygnaniach i tułaczce Marxa. W przedmowie do „Kapitału" przewidział i uzasadnił zresztą autor rodzaj reakcji, jaką wywoła jego praca: „Swoista natura materjału, jakim zajmuje się ekonomja polityczna, uzbraja przeciw niej najgwałtowniejsze, najbardziej małostkowe i najnikczemniejsze namiętności serca ludzkiego, a mianowicie *furje interesu osobistego*. Tak np. kościół anglikański łatwiej wybaczy napaść na 38 z pośród 39 artykułów swej wiary, niż na $^{1}/_{39}$ część swych dochodów pieniężnych."

Józef Szpecht

ANKIETA „EPOKI"
O WSPÓŁCZESNYM KRYZYSIE DUCHOWYM

VIII.*) ODPOWIEDŹ IRENY KRZYWICKIEJ

Kryzys duchowy dzieje się nieustannie. Każde pokolenie przynosi z sobą pewien kryzys, który nosi tedy znamię permanencji. Obecnie proces ten jest bardziej wyrazisty dzięki bankructwu pewnych form społecznych i tworzeniu się nowych.

Znam sprawy, dotyczące sztuki i literatury. Ograniczę się do tego terenu i mówić będę o literaturze — nawet nie ogólno - europejskiej — lecz wyłącznie polskiej.

Kryzys duchowy przejawił się w twórczości polskiej wtargnięciem nowych form literackich na teren oficjalny. Narodził się reportaż oraz ten kierunek, który na wschodzie nosi miano „literatury faktu". Świadczy to o wzmożonem zainteresowaniu się konkretnem życiem oraz o przeczuciu odpowiedzialności pisarzy wobec przemian i walki, która się toczy. W powieści — przełamanie się duchowe ujawnia się w mniejszym stopniu. Bankructwo pewnych wartości i pojęć widzimy w przemianach, jakim ulega styl.

Napuszony, barokowy, patetyczny, — zdobywa teraz nowe formy — ścisłe, przejrzyste, o jasności klasycznego niemal wyrazu. Widzimy też rosnącą demokratyzację literatury. Najlepsi pisarze starają się mówić tak, by być zrozumianymi przez wszystkich i poruszają zagadnienia, pasjonujące i dręczące szerokie masy.

Bardzo ciekawem zjawiskiem jest pojawienie się pisarzy samorodnych z ludu: — Wojciechowski, Urke-Nachalnik. Mnóstwo przesądów, naleciałości burżuazyjnego poglądu na świat przemija i nie znajduje już wyrazu we współczesnej literaturze. Stosunek do najbliższej nawet przeszłości z przed wojny — staje się już historyczny. Jesteśmy pokoleniem na przełomie dwóch epok, których konfrontacja nierzadko przebija się w literaturze. Na naszych oczach odbywają się narodziny nowych form życia — niszczenie starych. Pisarze mogą do tego procesu przyczynić się w niemałej mierze.

Z racji swoich zainteresowań — pragnę zwrócić również uwagę na nowe akcenty, których nabiera współżycie kobiety i mężczyzny oraz życie rodzinne.

*) W n-rach 12 i 13-tym „Epoki" zamieściliśmy odpowiedzi Andrzeja Struga, Juljusza Kaden-Bandrowskiego, prof. Tadeusza Kotarbińskiego, prof. Tadeusza Zielińskiego, Juljana Tuwima, prof. Wacława Makowskiego i Emila Breitera.

Nastąpiła tu rewolucja, dotychczas niespotykana. Zmieniały się formy gospodarki społecznej, ale sytuacja życiowa kobiety pozostawała na marginesie tych zmian. Proces zdobywiania życia przez kobietę odbija się na moralności, na stosunku do religji, do wojny... Refleksy padają na najbardziej palące sprawy dnia. Widzimy bezwiedne — bo często nieuświadamiane samym sobie — oddziaływanie świata kobiet. Stosunek do miłości, małżeństwa, do dzieci staje się odrębny od dawnego, nabrzmiewa nową treścią. Zyskuje na głębi, powadze i poczuciu odpowiedzialności. Ruch regulacji urodzeń, praca zarobkowa kobiet, nowe prądy wychowania dzieci — to są wszystko przejawy lepszego, racjonalnie urządzonego świata. Otwiera się perspektywa nowego życia.

IX. ODPOWIEDŹ PROF. WŁADYSŁAWA TATARKIEWICZA

Literaci, do których zwróci się ankieta, odpowiedzą na nią pięknie i głęboko, zato uczony musi starać się odpowiedzieć przynajmniej metodycznie.

Najpierw — co to jest kryzys? Zachodzenie zmian w bardzo szybkiem tempie. Występuje on w jakiejś sferze zjawisk wtedy, gdy same warunki ich powstania przestają być stałe i same ulegają przemianie.

Z szybkością zmian wiąże się większa, niż zwykle trudność przewidzenia, w jakim one kierunku idą i do czego zmierzają. Ta szybkość tempa i trudność przewidywania — wytwarzają charakterystyczny dla kryzysu stan napięcia i niepewności.

Czy rzeczywiście przeżywamy kryzys duchowy? Nie jest to tak łatwo ustalić, jak np. kryzys gospodarczy. Jest faktem paradoksalnym, ale niewątpliwym — że kryzysu duchowego nie odczuwa się tak bezpośrednio, jak gospodarczy.

Wiemy o nim raczej poprzez zastanowienie, refleksję, porównanie czasów obecnych z poprzedzającemi. Wielka zaś część ludzi kryzysu duchowego wogóle nie doznaje, nie przeżywa. Przedewszystkiem — ci, którzy go powodują. Młode pokolenie, które odbiegło od dawnych poglądów, ideałów, przekonań i wytworzyło właśnie w tych dziedzinach zmiany, ma naogół poglądy i ideały odrazu ustalone — powoduje szybkie zmiany ideowe, ale samo właściwie procesu przemiany nie przeżywa. Ludzie zaś starsi z poprzedniego pokolenia naogół znów pozostają przy swoich dawniejszych poglądach i widzą kryzys, ale go nie przeżywają. Bo krytykować zmiany, oburzać się na nie, ubolewać z ich powodu — to jeszcze co innego, niż przeżywać je. — Ostatecznie więc niezbyt liczni są ci, co kryzys duchowy przeżywają. Przeważnie są to ludzie naszego typu i zawodu: należący do poprzedniego pokolenia, wychowani w jego poglądach, ale utrzymujący żywy kontakt z młodszem pokoleniem.

Dlaczego przeżywamy teraz kryzys? To pytanie jest źle postawione. W sprawach duchowych zmiany o szybkiem tempie i trudnym do zrozumienia kierunku są zjawiskiem zwykłem i normalnem. Gdy ich niema — następuje stagnacja duchowa, epoka martwoty. I wtedy dopiero należy pytać: dlaczego w danym okresie niema kryzysu duchowego? W tej dziedzinie tylko takie pytanie jest słuszne.

W jakim kierunku postępuje obecny kryzys duchowy? Jak już zaznaczyłem — kierunek kryzysu trudny jest zawsze do ustalenia. Tembardziej, że takich kierunków może być i zwykle bywa naraz wiele.

Wszakże jedna orjentacja przemian duchowych, która jest najbardziej wyraźna, a przyszła nagle i kroczy naprzód z gwałtowną szybkością, to — odwrót od liberalizmu. Jeszcze poprzednie pokolenie uważało wolność za rzecz najcenniejszą. Postęp był bezmała utożsamiony z wywalczaniem i utrwalaniem wolności. W ciągu niewielu lat gwałtowny kryzys przekreślił radykalnie te poglądy. Dzisiejsi, nowi ludzie są przekonani, że możność oparcia się na kimś czy na czemś jest daleko ważniejsza i cenniejsza, niż wolność. Różne w treści i kształcie nowości naszego życia sprowadzają się w znacznej części do jednego: do szukania oparcia w jakimkolwiek punkcie życiowych możliwości. Dla historyka taki kierunek kryzysu nie jest nowością. W potężnej postaci, potężniejszej zapewne, niż dzisiejsza, wystąpił przed blisko dwudziestu wiekami.

Czy kryzys ten prowadzi nas ku dobremu? Człowiekowi, wychowanemu w ideałach liberalizmu niełatwo nagiąć się do nowych poglądów. Zresztą — zależy to od formy, jaką przyjmują.

Antyliberalizm państwowy, podporządkowanie jednostki państwu — najtrudniej bodaj uznać: żal— poświęcać żywych ludzi dla abstrakcji, jaką jest państwo. Albo w praktyce: żal poświęcać wielu ludzi dla nielicznych, którzy dzierżą rząd państwa. Łatwiej pogodzić się raczej z antyliberalizmem narodowym, który podporządkowuje jednostkę narodowi.

Ale ponadto istnieje jeszcze jedna postać tego ruchu: religijna. Myślę, że ona jest jedyna, która wysuwa takie cele, że warto dla nich zrezygnować nawet z wolności.

X. ODPOWIEDŹ PROF. HENRYKA RYGIERA

Primum vivere, deinde philosophari. Faktem, przez każdego z nas stwierdzonym, jest, że przy zaspakajaniu naszych potrzeb świadomie lub podświadomie dokonywujemy wyboru. Zaspokojenie głodu, pragnienia i zmęczenia stawiamy przed wszystkiemi innemi potrzebami, nawet przed najgroźniejszem niebezpieczeństwem. Znane są wypadki zasypiania żołnierzy pod gradem kul, lub narażania się na niechybne kalectwo, albo pozbawienie wolności dla zdobycia pożywienia.

Potrzeby duchowe w hierarchji potrzeb zajmują dość odległe miejsce, a w pewnych momentach dziejowych zostają odsunięte znacznie dalej, niż w czasach uregulowanych stosunków gospodarczych i społecznych.

Dziś bezrobotnych według oficjalnej statystyki Międzynarodowego Biura Pracy jest około 30 miljonów, a z rodzinami — około 100 miljonów. Nieoficjalne obliczenia mówią o 500 miljonach ludzi stale niedojadających.

Energja ludzkości wyładowuje się w kierunku zdobycia przedewszystkiem chleba codziennego, dachu nad głową i jakiej takiej odzieży. Ale jednocześnie w duszach ludzkich, śród tych strasznych zmagań, wytwarza się powoli nowa ideologja. Rozbój, gwałt i bezmyślna walka o byt na życie i śmierć przestaje być ideałem szerokich rzesz; zaczynają one rozumieć, że jest to broń, jedynie dogodna dla nielicznych, którym udaje się dobiec przed innymi do mety. Pozostałym przynosi nędzę i zawód. W ustroju społecznym,

opartym na niezorganizowanych jednostkach, drobna garść talentów eksploatatorskich triumfuje, miljony— giną. Nie lepsi i mądrzejsi, lecz najbrutalniejsi wybijają się na czoło społeczeństw.

Na tem tle kształtuje się idea zorganizowanego społeczeństwa. Demokracja stowarzyszeń rozpoczyna swój zwycięski pochód. Na frontonie Panteonu Świata stopniowo, jak głosi Henri de Weindel, wykuwać się zaczyna napis: „Wielkim siłom zbiorowym — ludzkość zorganizowana".

Współczesny kryzys duchowy — to kryzys głodu i ucisku. Jedynie zorganizowanie wielkich sił zbiorowych usunie tę klęskę i przyniesie rozkwit nowej kultury, dla której pałka będzie symbolem barbarzyństwa.

Może jesteśmy bliżsi tego dnia, niż się spodziewamy.

ODGŁOSY

PRZEWRÓT W „UKŁADZIE SIŁ"

W interesującej, jak zwykle korespondencji z Moskwy, charakteryzuje p. Otmar na łamach „Gazety Polskiej" obecne stanowisko kobiety w Z. Z. S. R. Przytaczamy najciekawsze wyjątki:

„Oficjalne dane sowieckie zawierają wręcz imponujące cyfry, ilustrujące „rozwiązanie kwestji kobiecej". A więc mamy pół miljona członkiń partji rządzącej, 1.625 tys. „komsomołek", 43 tys. „radczyń" w sowietach miejskich i 317 tys. członkiń sowietów wiejskich. Ponadto około 20 tysięcy obywatelek zasiada w rejonowych komitetach wykonawczych, zaś procent „posłanek do parlamentu sowieckiego" — C. K. W. ZSSR. mógłbym „na oko" określić na 25...

Dodajmy do tego 6 miljonów kobiet, zatrudnionych w przemyśle, przeszło 400 tysięcy studentek wyższych uczelni, parę tysięcy... aktywnych oficerów Czerwonej Armji i zgórą 3 miljony członkiń „Ossoawiachimu", a otrzymamy zgrubsza pojęcie o tym niesłychanym przewrocie, jakiego rewolucja rosyjska dokonała w uświęconym wiekami „układzie sił różnopłciowych" — w dodatku w kraju, gdzie kobieta była zarówno prawnie, jak obyczajowo o wiele bardziej upośledzona od swych siostrzyc z Zachodu.

Dlatego też rachuby przeciwników ustroju sowieckiego w Rosji na rzekomy „konserwatyzm kobiecy" pozwalam sobie uważać za chybione, ponieważ... kobieta wcale nie okazała się tu konserwatystką.

Wedle prawodawstwa ZSRR., niema dla kobiety „zakazanych dziedzin działalności z wyjątkiem szkodliwych dla jej zdrowia gałęzi produkcji". Zasada równej z mężczyzną płacy za równą pracę oddawna została już wcielona w życie. Ponadto państwo zapewnia kobiecie w okresie ciąży i porodu 16 tygodni płatnego urlopu, zaś we wszystkich zatargach z mężczyzną z reguły staje po stronie kobiety „jako strony słabszej".

Opieka nad macierzyństwem jest całkowicie zrozumiała z państwowego punktu widzenia, który w Z. S. S. R. jest decydującym. „Nauczyliśmy całe społeczeństwo sowieckie otaczania kobiety-matki najgłębszym szacunkiem jako członka społeczeństwa, wykonywującego najważniejszą funkcję społeczną" — pisze Karol Radek.

Polityka populacyjna nie jest jeszcze (narazie) ujęta w rygorystyczne cyfry planu gospodarczego. Jednak tendencja władców Czerwonej Republiki jest zupełnie wyraźna, pragną oni mieć maksimum przyszłych „budowniczych socjalizmu", obywateli „gotowych do pracy i obrony". W dodatku państwo sowieckie może sobie na to pozwolić, mając olbrzymie niezaludnione obszary, oczekujące na siekiery i łopaty....

To też nie popełniłbym przesady, że najsurowszy z reżimów świata, dokładnie doceniwszy uprzednio potęgę, jaką stanowiłaby antysowiecko usposobiona „większa połowa" ludności ZSSR. — uczynił wszystko, by dla nowego ustroju przychylnie kobietę usposobić.

Pojęcie „nieślubnego dziecka" znikło nietylko z prawodawstwa, lecz również z obyczajów najszerszych mas. Ojca wskazuje kobieta, zaś państwo pilnuje, by mężczyzna łożył na utrzymanie swego („prawego", czy „nieprawego") potomstwa.

Kokietowanie kobiet przez reżim sowiecki wkracza nawet w dziedzinę drobiazgów: firanki w oknie, kwiaty na oknie, a nawet poczciwy kanarek w klatce, tak usilnie ongiś piętnowane jako „poziome drobnomieszczaństwo", wszystko to powróciło dziś do czci, jako „godne pochwały dążenie do kulturalnego bytu".

NIE DO NAPRAWIENIA...

W artykule p. t. „Paragrafy i ludzie" („Bluszcz", nr. 11-ty) p. W. Woytowicz - Grabińska opisuje różne sprawy, z jakiemi ma do czynienia w swojej kancelarji adwokackiej. Sprawy te wołają o obronę krzywdy ludzkiej. Oto jedna z wielu:

„Wchodzi młoda kobieta i mężczyzna (o dziwo! uśmiechnięci i radośni).

— Proszę, niech państwo siadają. Ja panią skądś znam...

— Bo, proszę panienki, to jestem ja, Józia. A to mój mąż. Pobraliśmy się właśnie miesiąc temu.

— Ach, to ty, Józiu! Rzeczywiście. No, jakże ci się powodzi i co mogę dla ciebie zrobić?

— My właśnie przyszliśmy, proszę panienki, na sam ostatek, jak już wszystkie interesanty wyszli, żeby panience czasu nie zajmować, a samemu dobrze się wypowiedzieć. I my nietylko po znajomości, panienko. My zapłacimy, a jakże. Więc, jak to panienka wie, kiedy służyłam u państwa, to poznałam Staśka, niby mego męża. I on ze mną chodził. I później to panienka pamięta tę awanturę z panią starszą, że to niby ja miałam mieć dziecko: i pani się rozgniewała i kazała mi pójść precz. Panienka to mnie wtedy broniła, ja wiem, ale nic nie pomogło. To wtedy ja odeszłam, a dziecko to oddałam do zakładu. Stasiek był wtedy bezrobotny, to nie mogliśmy się pobrać, a zresztą, prawdę mówiąc, to on mnie wtedy odleciał. I tak zeszło sześć lat, a w przeszłym roku tośmy się ze Staśkiem znowu spotkali i znowu żeśmy zaczęli razem chodzić. No i jego sumienie ruszyło, że to niby tamto dziecko będzie nieślubne i ożenił się ze mną. Chwała Bogu, choć czasy są tak ciężkie, Stasiek dostał pracę woźnego w szkole i przy szkole mamy dostać także mieszkanie. A teraz, proszę panienki, kiedy już jesteśmy po ślubie, tośmy przyszli tutaj po radę, niby wedle naszego syna, co to jest w zakładzie. Bo on ma w metryce, że jest nieślubny, „N.N." jest napisane tam, gdzie powinno być, że to Stasiek jest ojcem. A Stasiek w tem podaniu do szkoły także chce napisać, że ma syna i zameldować go chcemy już ja-

ko nasze ślubne dziecko, żeby nie było wstydu. To co mamy zrobić, panienko?

— Co macie robić? Ależ dlaczego przychodzicie po radę tak późno! Przecież, skoro ojciec przed ślubem nie uznał dziecka za swoje, to dziecko nie zostało uprawnione nawet przez wasze małżeństwo. I teraz w metryce ta jego nieślubność pozostanie!

— O Boże!

— Co pani mówi? —

— Co mówię?! Prawdę. Przecież nie mogę tego owijać w bawełnę.

Stropienie. Bezradne, żałosne spojrzenia. I nieme pytanie:

— Kto winien?"

TEATR

„MARJUSZ" MARCELEGO PAGNOLA W TEATRZE POLSKIM

Byłoby zapewne niewłaściwe przykładać do sztuki Pagnola wysoką miarę idei, lub doszukiwać się w niej głębi psychologicznej; niemniej ma ona dużą wartość artystyczną, jako świetna robota pisarska, jako temat, utrzymany w ciekawym tonie kolorytu lokalnego.

Czynniki te składają się na całość harmonijną, pełną przekonywującej prawdy i plastyki.

Akcja sztuki — historja młodego chłopca, który porwany żądzą przygód, porzuca dom ojcowski i kochaną dziewczynę, jest tylko wątłą małoważną kanwą, na której autor — mistrz formy scenicznej — nadbudowuje czarujący, pulsujący bujnem życiem obraz jedynego w swoim rodzaju miasta i arcyciekawego środowiska.

Miasto owo — Marsylja — okno wiecznie rozwarte na szerokie kontynenty, zachłystuje się poprostu przewalającym się pod jej upalnem niebem różnojęzycznym pstrokatym tłumem handlarzy, podróżników, marynarzy, włóczęgów, co dzień i co godzinę innych, a obok tej przepływającej fali przybyszów przechowuje w nienaruszonej formie typ zawsze tych samych mieszczuchów, gnuśniejących w swych wygodnych mrocznych mieszkaniach.

Ale często oderwie się wicher dalekich mórz od napęczniałych żagli, do których jest przywarty, wedrze się w ściany mieszczańskiego domu, owieje głowę syna spokojnej rodziny, zapali tęsknotą oglądania świata, zarazi nią niby nieuleczalna choroba.

Nie zatrzyma wówczas chłopca czułość dla starego ojca, ani słodycz ramion kochanki; wyrwie się, ucieknie, poleci za swą tęsknotą. Konflikt sztuki możnaby tedy nazwać konfliktem środowiska. Ono tu gra rolę decydującą, ono jest głównym aktorem, reżyserem i przeznaczeniem zarazem.

Typy owego środowiska, które oglądamy w mrocznej marsylskiej tawernie, są niezmiernie ciekawe, malowane z prawdziwem zacięciem i dosadnym humorem, soczyste w barwach i linji.

Ów stary żeglarz Escartefigue, handlarz żagli Panisse, rybaczka Honoryna, a wreszcie i przedewszystkiem stary oberżysta Cezar, tryskają bujnem życiem i mają nazawodną wymowę prawdy.

Wspaniała kreacja Zelwerowicza, jako Cezara, godna jest szczególnej uwagi. Gra jego, wycieniowana do najdrobniejszej nutki, oparta na bogatym podkładzie uczuciowym, stała na wyżynach prawdziwego mistrzowstwa. Dużo szczerości i wdzięku miała p. Romanówna, jako Fanny. Fabisiak, Bonecki, Chmurkowski i Munclingerowa stworzyli kapitalne sylwetki charakterystyczne.

Publicznoć — widać to było po sali — słuchała sztuki z rozkoszą. Nic dziwnego. „Marjusz" ma tyle artystycznego wdzięku, że powinien osiągnąć długotrwałe powodzenie.

J. B.

KOMEDJA KONTUSZOWA W TEATRZE „ARS"

W sali Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych odbyło się otwarcie nowej placówki teatralnej „Ars", której zespół rekrutuje się z aktorów bezrobotnych.

Kontuszowa Komedja J. I. Kraszewskiego „Miód kasztelański" doskonale odpowiada charakterowi nowego teatru, którego zadaniem będzie dostarczanie rozrywki kulturalnej rzeszom młodzieży szkolnej, żołnierzy i warstwom robotniczym. Z komedji Kraszewskiego nie trudno wysnuć nader pożyteczny morał o niebezpiecznym wpływie jaki szerzą dokoła siebie fałszywie pobożne jednostki — kryjące obłudnie pod pozorami „miłości bliźniego" nabożności i moralitorstwa mocne zęby i pazury żądzy posiadania, sobkostwa, bezlitości i okrucieństwa w stosunku do „bliźnich", — nie przebierające w środkach popędy gwałtu i grabieży. Taką pobożną bestję ukazuje nam Kraszewski w postaci rezydenta Jacka Sołoducha wywierającego korzystną dla siebie presję zakonnych obyczajów w dworku samotnej wdowy, pani Barbary, którą, omotawszy pajęczyną „nabożności", pragnie w ten sposób od rodziny i konkurentów odciągnąć, by móc samemu w przyszłości stać się panem jej ręki i majątku. Tego rodzaju metody przypominają tradycje kleru, — to samo naciąganie łatwowiernych, a majętnych niewiast na „zapisy", „fundacje" i t. p, z tą tylko różnicą, iż Jacek Sołoduch jest świętoszkiem świeckim i pod pozorami „moralnego wpływu" czyha nie tylko na mienie, lecz i na rękę dziedziczki.

Inscenizacja „Miodu Kasztelańskiego" ciekawa i staranna. W popisowej roli pobożnego Jacka zasłużone oklaski zbierał p. Antoni Piekarski, — pozatem wyróżnili się p.p. Marja Fiszerówna, Julja Elsnerówna, Józef Józefowicz i Jan Orlicz. Placówce bezrobotnych aktorów życzyć należy artystycznych i kasowych sukcesów.

J. K.

„Epoka" jest pismem dla ludzi myślących, którzy pragną pogłębić swój sąd o rzeczywistości współczesnej.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

PSYCHOZA A PRZESTĘPCZOŚĆ

Studjum psychologiczno-prawnicze prof. Ursteina*) jest monografją o najpospolitszej chorobie umysłowej — katatonji, która w ujęciu autora jest psychozą wielopostaciową o różnorodnych przejawach, traktowanych naogół jako odrębne choroby, a w świetle analizy autora, dających się podciągnąć pod wspólny mianownik cierpienia katatonicznego.

Katatonicy — to szczególni ludzie. Nie można do nich stosować powszechnie przyjętych wymogów logiki i życia. Są oni jakgdyby jestestwem z innej planety, obdarzonem odmiennemi zmysłami i siłami duchowemi. Zupełnie nieczuli, czasem zaś chorobliwie przewrażliwieni — patrzą na świat innemi oczyma i pojmują go na swój sposób. Naprózno będziemy starali się udowodnić im, co znaczą logiczne wnioski, daremnie wskażemy błędy w ich rozumowaniu. Dla nich nie są to bynajmniej omyłki, ponieważ mają swoisty aparat myślenia i osiągają wyniki, które są odpowiednikiem ich pojęć. Z tego względu tak trudno jest przekonać tych ludzi, że są umysłowo chorzy i dlatego właśnie katatonicy — przestępcy, jeśli nie doszli jeszcze do ruiny duchowej — sami usiłują występować przed sądem, jako zdrowi i chcą ponosić odpowiedzialność za swe czyny. W tym właśnie momencie powinien wystąpić psychjatra i spełnić swe zadanie rozpoznawcze, aby wyrok sądowy nie był jawnie niesprawiedliwem i nielogicznem karaniem osobnika, nieodpowiedzialnego za swe czyny. Miejscem, do którego zawędruje wówczas przestępca — nie jest więzienie, lecz zakład psychjatryczny.

Cenne studjum prof. Ursteina odzwierciadla — poza wiadomościami fachowemi — żywot i tragizm pięciu przestępców. Dramaty, które były sensacją dziennikarską, znalazły należyte opracowanie naukowe. Subtelne badania autora pozwoliły odkryć demona katatonicznego, który często skryty jest w duszy najokrutniejszego mordercy. Prof. Urstein potrafił ujawnić ten moment genetyczny, który pchnął na drogę przestępstwa dwóch młodzieńców chicagowskich, jak również wyrafinowanych morderców w osobach Wolnickiego, Febronia czy Pistonego. Wyodrębnił te składniki chorej psychiki, które musiały doprowadzić do tragedji i zbrodni, przedstawiając defekty duchowe u osobników, którzy powinni znajdować się nie w więzieniu, a w zakładach dla obłąkanych. Autor obok szczegółowej analizy psychologicznej, szeroko traktuje również prawną stronę problematu. Dzieło winno więc służyć nietylko orjentacji psychjatrów i kryminologów, ale okaże się również interesujące dla prawników w kapitalnej kwestji poczytalności i nieodpowiedzialności wobec prawa. Autor wyjaśnia w oryginalny sposób różnicę między „anomalją umysłową" (psychopatją), która czyni sprawcę odpowiedzialnym za postępowanie, a „chorobą umysłową" — psychozą — która wyklucza swobodną i świadomą wolę przestępcy.

Dzieło to może się również okazać wielce pożytecznem dla celów pedagogicznych i wychowawczych. Poucza bowiem, jakie cechy charakteru i manifestacje umysłu, tłomaczone u dzieci i w wieku młodzieńczym — jako braki w wychowaniu, złe nawyki, nerwowość, są już de facto przejawem psychozy, prowadzącej do otępienia i kończącej się całkowitym rozpadem osobowości.

Książka prof. Ursteina otwiera przed nami mroczną perspektywę niepojętych i zawikłanych zagadek psychiki ludzkiej. Czem bowiem jest katatonja? Prowadzi do zupełnej destrukcji osobowości, poprzedzona stopniowo rozwijającym się defektem, który polega na kurczeniu się inicjatywy duchowej i wygasaniu uczuć. Chorobie towarzyszą urojenia, wizje słuchowe i wizualne. Rodzą się obłędne idee, niedostrzegalne z początku dla otoczenia, które z czasem zapanowują w sposób nieubłagany nad myślą i czynami chorego. Gdy katatonik mówi o swej sytuacji i o swoich przeżyciach, czyni to, jak postronny widz, nie dostrzegając samego siebie w osnowie opowiadania. Obojętność, wypływająca z zakłócania równowagi duchowej, zanik zainteresowania własnem „ja" należy do najwcześniejszych, a najczęściej jednak przeoczonych przejawów psychozy. — Katatonik oświadcza, że „wcale nie jest sobą". Szczególną formą tego wyodrębnienia się po za własne „ja" jest rozszczepienie, rozdwojenie osobowości — jako motyw psychologiczny, mający swą bogatą literaturę, że wskażę tylko „Portret Doriana Greya" i „Dr. Yekyll i Mr. Hyde".

Równie destrukcyjny — jak katatonja — jest bodaj tylko paraliż postępowy, który łatwiej jednak rozpoznać dzięki stanowi fizycznemu i kompletnemu zanikowi pamięci, co nie należy do cech katatonji.

Przy katatonji — co najciekawsze — zupełnemu rozpadowi władz duchowych towarzyszy najczęściej doskonała konserwacja pamięci. Autor przytacza listy i poezje, pisane przez katatoników, które dobitnie świadczą o tej paradoksalnej prawdzie, że pomimo śmierci duchowej może istnieć życie umysłowe. Właśnie przedwczesna śmierć uczuciowa jest znamienna dla katatonji przy jednoczesnem zachowaniu zdolności intelektualnych, a często — twórczych!

Studjum prof. Ursteina rozświetla mroczne czeluście duszy ludzkiej.

Spector

*) *Psychoza a przestępczość.* Wydawnictwo Współczesne. Warszawa. 1933. Skład główny w księgarni F. Hoesicka.

PO DWUDZIESTU LATACH...

Ukazała się książka ś. p. prof. Jana Władysława Dawida p. t. „Psychologja religji", napisana w roku 1913-tym. Ukazała się poraz pierwszy w druku. Walczył o to kurator spuścizny naukowej Dawida, Henryk Lukrec. Poszedł mu na rękę Związek Nauczycielstwa Polskiego i wydał dzieło znakomitego pedagoga. Rozprawa ta, poprzedzona szkicem biograficznym pióra p. Lukreca, niesie nam lekturę wysoce zastanawiającą.

Notujemy narazie ukazanie się tej książki, której treść omówimy niebawem obszerniej.

„Epoka" daje swobodny wyraz wszystkim kierunkom myśli humanitarnej.

KOBIETY W DYPLOMACJI

Podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych imperjum brytyjskiego, sir Hubert Montgomery oświadczył w parlamencie, że kobiety nie nadają się do służby dyplomatycznej.

„Wcale się nie obawiamy, — argumentował sir Hubert, — ale służba dyplomatyczna, jako taka, jest zanadto niebezpieczna dla płci pięknej. Jedynie tedy dla dobra kobiet, państwo Wielkiej Brytanji nie mianuje konsulek i posłanek, bynajmniej nie dlatego, aby nie wierzyło w ich kwalifikacje czy zdolności. Narazie nie możemy dopuścić kobiet do służby dyplomatycznej, albowiem na placówkach zwłaszcza kolonjalnych, mogłyby być narażone na najrozmaitsze przykrości i niebezpieczeństwa".

Debata nad tym tematem, która miała miejsce w komisji specjalnej dla służby cywilnej, powstała na skutek interpelacji przewodniczącego lorda Tomlena, który zaprotestował przeciw uprzywilejowanemu stanowisku mężczyzn na placówkach konsularnych. Odpowiedział na to nieugięty sir Hubert Montgomery, że brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych z ubolewaniem zrezygnować musi z ofert kobiecych, choćby z uwagi na to, że niektóre zagraniczne rządy niechętnie prowadzą pertraktacje dyplomatyczne i handlowe z konsulami - kobietami, czy posłankami, że następnie — co jest najważniejsze — niektóre pozaeuropejskie posterunki byłyby dla kobiet niebezpieczne, szkodliwe dla zdrowia.

Sir Montgomery w wywodach swych zapomniał, że w głębi Chin żyją i działają misjonarki, znajdujące się w gorszych i niebezpieczniejszych sytuacjach, że na mokradłach Brazylji dzielą żony los swych mężów - konsulów, iż wreszcie w dzikich kolonjach afrykańskich piastują urzędy posłowie angielscy, gdzie nie brak i kobiet, jako żon personelu placówek konsularnych.

Miss Ayrton Could, rzeczniczka spraw kobiecych, wspomagana dzielnie przez Miss Wintringham odpierała mądrze wywody sir Huberta, proponując w końcu kompromis: niech rząd brytyjski spróbuje użyć sił kobiecych w służbie dyplomatycznej, poczem dopiero wypowie się ostatecznie w tej kwestji. Wszak inne rządy, jak bułgarski i rosyjski wysyłały już nader zdolną dyplomatkę p. Nadejdę Stancioff, do Londynu, i p. Kołontaj do stolicy Norwegji, które z poruczonych misyj wywiązały się ku ogólnemu zadowoleniu miarodajnych czynników. Propozycja p. Could nie znalazła posłuchu w odnośnej komisji, skutkiem czego wniosek jej upadł narazie. Nie znaczy to jednak, by sprawa była przesądzona.

Na wielu przykładach, zaczerpniętych z historji wykazać można, że kobiety odgrywały zawsze wybitną rolę na scenie dziejowych wypadków. Jest faktem niezbitym, że gdyby nie było takich postaci w starożytności, jak: Dydo, Piękna Helena i Kleopatra, polityczna karta krajów ówczesnych wypadłaby zapewne inaczej. Jest również udowodnioną rzeczą, że królowa brytyjskiego imperjum Elżbieta, była największym dyplomatą swego czasu. Również wielkie sukcesy dyplomaty francuskiego króla Ludwika XIV, polegały w lwiej części na zręcznej polityce „wielkich dam wersalskiego dworu"! Olbrzymi był też wpływ kobiet na polityczne ukształtowanie się Europy podczas XIX stulecia. Na czele wielkich umysłów kobiecych owego czasu stały między innemi: Madame de Stael, jedna z najgenjalniejszych kobiet wszystkich czasów. Następnie Juljana baronowa v. Krüdener, która była niejako Egerją mistycznie usposobionego cara Aleksandra. Za jej inicjatywą i dzięki jej bezustannym zabiegom, powstał wreszcie sławny pakt święty „wieczystego pokoju". Projekt bowiem tej słynnej proklamacji z 26 września r. 1815, był dziełem tej niepospolitej kobiety. Wielką dyplomatką nieoficjalną była też księżna Klementyna Koburgska, córka Ludwika Filipa, a matka byłego króla bułgarskiego, Ferdynanda. Ona to kierowała mądrze i przezornie sterem małego państewka bałkańskiego na wzburzonych falach europejskiej polityki 1887 roku; ona to starała się, by w chórze państw europejskich mała Bułgarja zyskała na znaczeniu i sile. Nie mniejszą rolę na arenie polityki światowej odegrała była arcyksiężniczka austrjacka Marja Krystyna, matka zdetronizowanego dziś hiszpańskiego króla Alfonsa XIII, która po śmierci swego przedwcześnie zmarłego małżonka, wzięła na siebie całe brzemię odpowiedzialności za losy korony Burbonów.

Z kolejności nominacji wspomnieć należy na pierwszem miejscu p. Kołontaj, którą w sierpniu 1924 r. zamianowano urzędowo jako „ministre plenipotentaire" republiki sowieckiej w Oslo, a jako rzeczywisty poseł akredytowaną była później przy rządzie meksykańskim. Od roku 1922 piastują kobiety odpowiedzialne dyplomatyczne urzędy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przedewszystkiem wymienić należy p. Lucille Atcherson, która była sekretarką w poselstwie w Panamie. Miss Patie M. Field była pierwszym wicekonsulem St. Zj. Ameryki w Amsterdamie, podobnie jak Miss France E. Willis, Marget Warner, oraz Nele B. Stogsdall, które w charakterze „charge d'affaires" urzędowały w Valparaiso, względnie w Genewie i Bejrucie. Rząd St. Zjedn. zamianował też Mss. A. Vinola Smith, Elizabeth Humes i Gudrun Carlson na komisarzy handlowych z siedzibą w Szanghaju, w Rzymie i Oslo.

Węgry mają już swą sekretarkę legacyjną, mianowicie p. Marguerite de Rez, która czynną jest w poselstwie paryskiem. Czechosłowacja szczyci się p. Ireną Malińską, która jako komisarz handlowy w ministerstwie spraw zagranicznych piastuje urząd nader odpowiedzialny.

Konsulem kobiecym królestwa Niderlandów w Jerozolimie jest Miss E. F. Rankel. Republika Nicarakuy poruczyła swe agendy wicekonsula w San Diego młodej, a bardzo uzdolnionej Emmite E. Canton. Chiny wysłały przed dwoma laty do spełnienia specjalnej misji młodą adwokatkę p. Soume Tscheng do Paryża.

Niedawno temu zamianowały Japonja panią Thuru Sziskawę na konsula generalnego w ministerstwie spraw zagranicznych dla spraw europejskich specjalnej wagi. W dalszym ciągu przydzieliła Finlandja Mss. Dr. L. Kartunnen i fag. fil. A. Forsmann do swych poselstw w Rzymie i Bernie szwajcarskim z nominacją pierwszych kobiecych attaché legacyjnych. Dowodem wielkiego zaufania rządu tureckiego do dyplomatycznych zdolności kobiet, było powołanie p. Deddi Beha, jako attaché do poselstwa angorskiego w Waszyngtonie.

A. Rellemont-Mellerowa

SOCJOLOGJA POWODZENIA LITERACKIEGO

Książka niekoniecznie musi być zła, ażeby mieć powodzenie. Dość często książka dobra zdobywa szerokie masy czytelników i nie rzadko książka zła spotyka się z ostrą odprawą tejże masy. Dlaczego nie wszystkie książki o bezspornej wartości literackiej cieszą się powodzeniem? Dlaczego wiele książek o najniższym pozomie znajduje czytelników wśród wszystkich sfer społeczeństwa?

Gdy się sprawie przyjrzymy bliżej, zobaczymy, że będziemy musieli odwrócić pytanie. To znaczy, że celem zbadania, dlaczego pewne książki mają powodzenie, będziemy musieli zapytać, jaką jest publiczność, która daną książkę „rozchwytuje" a nie jaką jest książka. Rozchwytywane są n. p. powieści Wassermanna, Erenburga, Wallace'a, Pitigrilliego, dość znaczną sympatją cieszą się książki Ossendowskiego, Goetla czy Marczyńskiego. Powodzenie mieli (z poważniejszych autorów) Tomasz Mann, Galsworthy, Kaden - Bandrowski, nie miał go wcale u nas André Gide. Niektórzy wzięci autorzy niższej klasy (Dekobra) nagle znikają z widowni, na innych przychodzi moda.

Tych parę przykładów przekona nas o tem, że obok książek łatwych czy złych, cieszą się poczytnością książki trudne czy wybitne. Że niektóre dzieła o wysokich walorach spotykają się z obojętnością ogółu, a inne głośne popadają w zapomnienie. Powodzenie jest więc kapryśne. Z tego wynikałoby, że nie jakość książki, lecz jakość publiczności o powodzeniu decyduje. Nie książka, lecz smak publiczności należy badać, jeżeli chcemy poznać tajemnicę powodzenia.

Kilku literatów niemieckich (Krakauer, Frisch, Burschell i in.) zajęło się analizą powodzenia niektórych autorów. Wybrali autorów swego czasu (lub dziś) bardzo poczytnych, a więc Vasso, Remarque'a, Londona, Zweigów, starając się wykazać zależność ich powodzenia od norm socjologicznych. Karol Irzykowski, pisząc o tych próbach w „Wiadomościach Literackich" dodaje, że metoda socjologiczna ma jedną wadę, mianowicie, że „wyniki uzyskane przez ocenę czysto literacką, zmieniają się na wyniki myślenia socjologicznego". Istotnie, badania wspomnianych autorów nie są dość ścisłe, często zacierają się u nich granice pomiędzy analizą socjologiczną, a literacką. Co nie jest jednak argumentem przeciw metodzie. Z niemieckich krytyków zbliżył się najbliżej może do typu wzorowej analizy socjologicznej Frisch, omawiający głośną książkę Remarque'a, Frisch pisze: „Remarque jest liryczny, miękki. Wzruszeniowa strona jego powieści wskazuje też na pewną warstwę socjologiczną. Czułość jest stanem pośrednim pomiędzy zgodą a buntem i odpowiada nastawieniu średniego stanu. Jest to owa popularna obojętność, która zadowala się stwierdzeniem: „Lepiej, żeby nie było wojny". Frisch dociera do tej najgłębszej sprężyny, która wprawiła w ruch upodobanie szerokich mas.

Chciałbym w związku z tem zagadnieniem przypomnieć teorję socjologicznego badania literatury L.L. Schückinga, profesora anglistyki na uniwersytecie w Lipsku. Teorja Schückinga ma tę wyższość nad wspomnianemi próbami, że konsekwentnie bez kompromisów stosuje kryterja socjologiczne.

Smak estetyczny jednostek i grup ludzi zmienia się. Schücking śledzi drogę smaku estetycznego, jego skrętów, wzniesień i upadków, powstawanie nowych kierunków, znaczenie krytyki, propagandy i t. d. Nie mogę tu przytoczyć bogatego materjału, na którym Schücking zbudował swoją teorję, chcę tylko podać główne linje jego studjum „Literarische Geschmacksbildung".

Każdy człowiek jest wyrazicielem pewnego ściśle określonego smaku czy upodobania. Ludzie o pokrewnym smaku będą tworzyli grupę. Jednostki jednej grupy nazywa Schücking „Geschmacksträgertyp", co może nazwiemy po polsku „typem estetycznym". Reprezentat pewnego typu estetycznego szuka naturalnie zaspokojenia swego estetycznego głodu w odpowiadających mu dziełach. Gdy pojawi się na rynku nowa książka, zwróci ona przedewszystkiem uwagę swego typu estetycznego. Tu możemy abstrahować od wartości danej książki i stwierdzić, że jej powodzenie zależne będzie od wielkości grupy reprezentującej pewien estetyczny typ.

Jeżeli grupa składa się z 500 ludzi, książka może liczyć na 500 czytelników i pewną proporcjonalną do tej liczby ilość odbiorców. Smak pewnej epoki, to co się pobieżnie nazywa „duchem czasu" jest właśnie odbiciem ideałów estetycznych pewnej grupy. Właściwie każdy okres ma szereg „duchów czasu", z jednym „duchem" dominującym, bo skupiającym dokoła siebie największą liczbę jednostek o pokrewnym smaku. Duch czasu czyli konkretniej pewna grupa socjologiczna, wytwarza zapotrzebowanie na pewien rodzaj książek, co ma tę dodatnią stronę, że zapładnia pisarzy o analogicznem nastawieniu duchowem i daje im możność najlepszego rozwoju oraz tę stronę ujemną, że stwarzając konjunkturę umożliwia geszefciarzom spekulację na ideałach o dobrym zbycie. Artyści innego typu nie znajdują dostatecznej ilości odbiorców i często wskutek tego muszą zamilknąć. Schücking wykazuje, że nawet rozmiary powieści zależne są od smaku „grup estetycznych". W czasach Dickensa n. p. trzytomowe powieści były tak dalece modą, że pierwsza powieść Charlotty Bronte, głośna później książka „Profesor", nie mogła znaleźć wydawcy, gdyż miała tylko jeden tom.

Zrozumiałem tedy będzie, że nie smak się zmienia, lecz, że inni ludzie, inne grupy (czy nawet klasy) dochodząc do głosu, zdobywając supremację, wytwarzają okresowo powodzenie pewnego typu literatury. Zbadanie grupy estetycznej, która wywołuje popyt na pewną książkę, więcej nam o wartości tej książki powiedzieć może, niż krytyka.

Gdy zbadamy grupy estetyczne (czy socjalne), które czytają pewne książki, decydując o ich powodzeniu, będziemy mogli odpowiedzieć na tego rodzaju pytania, jak: dlaczego nie miały powodzenia nowele Dąbrowskiej, której powieść „Dni i noce" jest obecnie rozchwytywana? Dlaczego nie idzie „Mateusz Bigda" Kaden - Bandrowskiego, mimo, że liczne recenzje książkę bardzo wysoko stawiają? Dlaczego wysprzedano cały nakład „Biblji cygańskiej", Tuwima, mimo, że recenzyj o tym tomie prawie nie było? i t. d. Ale o tem może kiedyindziej. Narazie chodziło mi tylko o wskazanie podstaw metodycznych, które umożliwiłyby badanie fenomenu „powodzenia literackiego", pojęcia złożonego i płynnego.

dr. Aleksander Niedźwiedziński

POWRÓT UPIORA

Lało, jak z cebra, dniem i nocą. Wierzchołki gór dymiły wciąż białą, gęstą parą, niby kratery fantastycznych wulkanów. Dął wiatr, a w okna chlastał deszcz, przypominając mi strofy Staffa o polskiej szarudze.

Willa „Wanda", trzęsła się ustawicznie w gwałtownej febrze, pod żywiołowym oddechem wiatru, co wprost ze szczytów spadał na łeb, na szyję, na minjaturowe dachy domów, jakby wyciętych z kolorowej, lekkiej tektury, które tu się znalazły wśród zalesionych skał, granitowych urwisk, oraz różowego gościńca, wijącego się falistą, pogmatwaną tasiemką pośród rajskiej okolicy.

Zdrojowisko zamarło. Jak zazwyczaj późną jesienią, kiedy z gór wieje chłodną melancholją, a opustoszałe wille, sanatorja i dancingi zaczynają żyć tylko nadzieją przyszłej wiosny. Po zabłoconych rozmiękłych ulicach przemknął czasem cień, albo zajargotała bryka, świecąc zdaleka swiatłem, — mosiądzem nabijanej uprzęży.

Budziłem się i zasypiałem codziennie przy akompanjamencie słoty, a przez otwarte okna wlewał się do wnętrza pokoju zimny szum wezbranej, krzyczącej rzeki, wraz z prądem ożywczego powietrza, przesiąkłego zapachem wonnego igliwia.

Zabrałem się do pakowania kufrów, zwłaszcza, że wszechwiedzący Mikołaj, stary, bo prawie stuletni baca, spenetrowawszy dokładnie swem nieomylnem okiem szare, skłębione niebiosa, uśmiechnął się filozoficznie, co zrozumiałem w ten sposób: darmo czekacie mieszczuchy, bo ani dziś, ani jutro nie będzie słońca!...

W wigilję wyjazdu z Pienin spotkałem przypadkiem w salonie pensjonatu niezwykłego gościa, młodą, olśniewającej urody niewiastę. Miała delikatną, bladą cerę, czerwone, jak goździk usta i duże, zdziwione oczy małego dziecka pod dwoma łukami gęstych brwi. A wszystko to w złocie jasnych włosów, połyskujących odcieniami dojrzałego zboża.

Siedząc przy oknie, przerzucała z uwagą karty ilustrowanego czasopisma, potem przez dłuższy czas wyglądała przez szyby na srebrną, dudniącą rzeką, a wreszcie podeszła lekko do fortepianu, schyliła się nad plikiem porozrzucanych nut i zaczęła niedbale muskać klawjaturę. Wtedy, jakby pod wpływem czarodziejskiego zaklęcia, na dworze zaświeciło słońce.

Weszła służącia Anastazja i rzekła wesoło: „Przywiozła nam pani słońce". Tamta odpowiedziała uśmiechem i wzmocnionym akordem.

W tej chwili postanowiłem jeszcze nie wyjeżdżać. Spotykałem ją codziennie. Zawsze piękną, spokojną, zamyśloną i milczącą. Zauważyłem, że dzień swój spędza najczęściej na balkonie wśród różnokolorowych groszków pachnących, duszących goździków i białych lewkonij, a dopiero o zmierzchu wymyka się na przechadzkę do zdrojowego parku, gdzie nieraz późno w nocy widziałem jeszcze jej jasną, lekką sukienkę.

Spotkawszy się ze mną, przysłaniała oczy cieniem swych długich rzęs i skręcała natychmiast w najbliższą aleję, jakby chcąc jaknajprędzej uwolnić się od przykrego natręta.

Kiedyś po obiedzie, zapytałem Anastazję, krzątającą się przy stole, jak nazywa się ta piękna pani.

— Marja Karo!..

— Karo? — wykrzyknąłem zdumiony.

— Ano tak.

Zerwałem się z miejsca, jak szalony, nie mogąc uwierzyć, by to naprawdę mogła być ona, kobieta, którą znałem świetnie z nieprzeliczonych zdjęć umieszczanych przez dłuższy czas w prasie, bohaterka strasznej tragedji, o której wiele pisano i wiele mówiono w swoim czasie.

Przed rokiem śledziłem ze szczególnem zainteresowaniem na łamach brukowych dzienników przebieg sensacyjnego procesu przeciwko Marji Karo, oskarżonej o skrytobójcze zamordowanie męża, inwalidy wielkiej wojny i byłego oficera kawalerji austrjackiej, który wróciwszy o północy pod dach rodzinnego domu, zginął z rąk ukochanej żony. Podobno dopiero w południe znalazła służba na podłodze sypialni ostygłego trupa.

Podsądna przyznała się do winy, zaznaczając jednakże, że męża swego darzyła bałwochwalczą wprost miłością, a czyn swój uważa za okrutną, lecz nierozwikłaną niestety zagadkę, za tajemnicę, której nie zdoła zgłębić nawet najmędrszy areopag. Równocześnie zwróciła się do ławy przysięgłych z gorącą prośbą o jaknajsurowszy wymiar kary, gdyż życie tak, czy inaczej nie przedstawia już dla niej najmniejszej wartości. Sąd jednak uwolnił ją od winy i kary ze względu na szereg okoliczności łagodzących.

Tutaj urwała się nasza znajomość, zawarta tylko za pomocą prasy, lecz dotychczas jeszcze tkwiły mi mocno w pamięci owe niezwykłe oczy, widziane na którem ze zdjęć w „Kurjerze".

Wkrótce chodziliśmy już oboje po osłonecznionych alejach modrzewiowego parku, niby para starych znajomych. Marja mówiła mało, a raczej wcale, gdyż tych kilka słów jakie wypowiadała zazwyczaj do mnie, trudno było nazwać rozmową. Prędzej już chyba, milczeniem. W czasie długich spacerów, w jadalni, lub salonie sprawiała wrażenie osoby chorej, czy też bezbrzeżnie smutnej.

Czas mknął szybko i zdawało się, że nigdy już nie poznam tajników jej zamkniętego serca. Ale stało się inaczej, bo oto któregoś wieczora zapytała półszeptem, patrząc wciąż w brudną, spienioną wodę pędzącego Dunajca.

— Czy słyszał pan kiedyś o Marji Karo?

— Tak.

— Ale czy zna ją pan tylko z prasy?

— Jedynie.

Urwała i znów zapatrzyła się gdzieś przed siebie, na rozbłękitnione wierzchołki górskie. Oczy jej powlekła mgła głębokiego smutku, a usta krzywiła bolesna zmarszczka.

— Czy chciałby pan usłyszeć prawdę, ale to okrutną prawdę o mnie i o mojej przeszłości?

— Boję się prosić o to.

— A więc opowiem panu historję jednej nocy, która zdecydowała ostatecznie o mojem życiu.

— Było to w wieczór, poprzedzający ową straszną noc, o której potem będę mówiła obszerniej. Już przeszło godzinę siedzieliśmy ze Stefanem w ustronnym kącie miejskiego parku. Bez słowa. Mówić nie mogłam. Zbyt wiele bowiem miałam pogardy dla samej siebie za tę ostatnią znajomość, zawartą lekko-

myślnie, z przystojnym blondynem, w balowej sali. Z pierwszym lepszym ogorzałym, sympatycznym mężczyzną, jakiego wogóle spotkałam po pięcioletniej żałobie, noszonej po tragicznem zaginięciu męża na wschodnim froncie. Zawarłam z nim coś w rodzaju przyjaźni, chociaż wiedziałam dobrze, że go nie kocham i nigdy kochać nie potrafię, żyjąc jeszcze pod niezwalczonym urokiem Jerzego, w którego powrót wierzyłam dotąd święcie. Kilkakrotnie próbowałam nawet przekreślić swą przygodną, głupią znajomość ze Stefanem, lecz już po upływie tygodnia wysyłałam doń kartkę ze słowami: przyjdź, czekam z utęsknieniem. A kiedy zjawił się w salonie, nie wiedziałam poco, bo chyba nie do mnie, choć był klasycznie piękny wytworny i czarujący. Zwłaszcza zdaleka, albo na boisku „Legji" w reflektorach fosforyzujących oczu tłumów, zalegających trybuny, gdy z lekkością wiosennego wiatru przepływał płotki, śmigły, elastyczny i porywający. Sypano kwiaty, grzmiały oklaski. Ale ja rzucałam mu tylko uśmiech i to wymuszony.

Więc i teraz dziwiłam się ogromnie. Bo poco właściwie siedzimy razem w zielonem ustroniu, jak prawdziwi kochankowie. Przecież jest to tak bezsensowne, że naprawdę mogłam się tylko wstydzić. On myślał napewno o swym ostatnim rekordzie w rzucie oszczepem i czekał ślamazarnie na nagły wybuch mojej ukrytej czułości, a ja kipiałam z wewnętrznego oburzenia.

Rozumiałam najwyraźniej, że stara się zbliżyć do mnie i dlatego właśnie rosła we mnie bezustannie odraza do jego postaci, zastygłej w bezruchu ciągłego wyczekiwania, do tych regularnych rysów wspaniałego lowelasa i jego sportowej sławy. Oto w jednej chwili poczułam smak starej goryczy, jakiej doznałam przed rokiem, goszcząc go poraz pierwszy u siebie, kiedy z głęboką dumą pokazywałam mu gabinet męża, zapchany mnóstwem sztychów i cennych płócien. Wtedy zapytałam nieopatrznie, czy poznaje orginalnego Fragonarda. Podkreśliłam, że lubię zestawiać go z Rubensem, ale nigdy z Bucherem. Przecież obaj pierwsi tryskali lawiną niepohamowanego życia. A oto kopja z Renoira. Ale wtem dostrzegłam, że w kasztanowych, pozornie tylko mądrych oczach Stefana zamigotał przestrach. Zrozumiałam w jednej chwili wszystko. Pierwszy raz w życiu słyszał podobne nazwiska!..

Ale tak, czy owak musiałam przecież jakoś wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji. Więc zwróciłam jego uwagę na piękną palmę stojącą za biurkiem Jerzego. Prawda, jaka wspaniała?

Odtąd między mną, a Stefanem legła nieprzeparta zapora. Ile razy potem odezwał się do mnie czulej, zawsze wracała ta sama gorycz, jakiej doznałam wówczas w gabinecie Jerzego przy płótnie Fragonarda.

Milczałam, gdyż wezbrała we mnie nagle żywiołowa tęsknota za utraconym mężem, za jego jasną głową, wiecznie schyloną nad albumami rzadkich rycin, za wilgocią ciemnych oczu o prawdziwej inteligencji, a może za rozkoszą czysto zmysłowych doznań. A prawie równocześnie buchnął wstręt do siedzącego obok mężczyzny, jakby to on był przyczyną zaginięcia ukochanego człowieka. Patrząc ukradkiem na regularny profil Stefana, oświetlony zlekka blaskiem zachodzącego słońca, poczułam gwałtowną potrzebę zadawania komuś bólu, za swój ból, męki, za własną mękę. Zaczęłam więc mówić wolno:

— W podobny wieczór żegnałam kiedyś Jerzego. Prawie tak samo, jak teraz, grało światło na zielonych liściach jaśminów. Usta nasze piły ostatnie krople pocałunków, słonych i mokrych od łez, a serca nasze drżały. Wtedy dopiero poznałam naprawdę istotną wartość tak bezwstydnie i bezlitośnie wyświechtanego słowa: miłość...

— Marjo! — jęknął, jak marny aktor.

— Przerwałam, bo owiał mię skądś wiatr najpiękniejszych wspomnień, z przed pięciu laty. Zasłuchałam się w szelest szafirowego zmierzchu, ciekącego po czarnych wierzchołkach drzew, w melodyjny szept fontanny, gwarzącej w sąsiedniej aleji.

Czerniało. Park tonął w szarym pyle. Pod sklepieniem rozłożystych kasztanów przesuwały się pary. Po dwoje, jedna za drugą. Splątani z sobą, cisi i szczęśliwi.

— Przyjdzie, jak przyrzekł — odezwałam się nagle — bo chociaż kancelarje pułkowe łżą bez wytchnienia, pisząc, że zginął bez wieści, jednak wiem, że dziś, lub jutro wróci.

— Wszystko to wytwór chorej fantazji, zaprawionej kobiecą uczuciowością, ale nic więcej. Poza, kaprys, a może tylko najzwyczajniejsza w świecie przekora kobiety łaknącej życia!...

Spojrzałam uważnie na mówiącego. Wydał mi się teraz inny, niż dotychczas. W słowach jego dźwięczała młodzieńcza, chamska śmiałość. Oczy jarzyły się ogniem najprawdziwszego wzburzenia. Przypominał Jerzego. Szczególnie w ruchach rąk, szybkich i nerwowych.

— Patrz na tych ludzi, snujących się po ciemnych alejach parku — mówił — na kochanków, co nie odkładają miłości na potem, lecz śpieszą się, by wydobyć wszystko z życia. Chleją szczęście z żarłocznością, na jaką tylko może zdobyć się młodość!...

— Mam wstręt do tych ślamazarnych kukieł — odparłam — mizdżących się bezwstydnie do tłustych samców. Jak ohydnie wetują sobie stratę, wynikłą wskutek długiej nieobecności mężczyzn!....

Przyznam się panu, że kłamałam, bo naprawdę denerwowały mię owe rozkochane cienie, wałęsające się po parku w poszukiwaniu zacisznego kąta. Stefan pochylił się do mych rąk, całując palce i brzeg mojej sukni.

— Wracajmy! — rzekłam gwałtownie, zrywając się z ławki.

W domu owiał mię tylko smutek. O zwykłej porze zeszłam do jadalni, gdzie czekał stary ojciec z kolacją i w milczeniu zasiadłam do stołu. Z trudnością powstrzymywałam łzy. Czułam, że rozpłaczę się każdej chwili z bezsilnego wzburzenia, choćby na widok zawsze tego samego zsiadłego mleka i pachnących kartofli z cebulką. Nie mogłam też rozmawiać, jak zwykle, o gatunkach krajowego tytoniu, Czajkowskim i bitwie w błotach mazurskich. Zresztą pocóż miał starzec niepokoić się drżeniem mojego głosu? Stanowczo lepiej, by siedział sobie nadal przy owej wiolonczeli, z uśmiechem promieniejącym w śnieżnych okiściach wąsów. Przynajmniej on będzie spokojny!...

Siedząc pod lampą, u siebie, przewracałam nerwowo stronice jakiejś książki, leżącej tuż pod ręką. Próbowałam zagłębić się w treść poszczególnych zdań, ale w oczach miałam jedną gmatwaninę plam, bezład, jak w sobie.

(Dok. nast.) *Jan Nikodem Kłosowski*

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Generalny mówca partji rządzącej dziś losami Niemiec, p. Göring, zapowiada, że za 50 lat w Niemczech ludzie nie będą wiedzieli, co oznacza słowo marksizm. Zapowiedź tę wygłoszono w 50-lecie zgonu Karola Marxa, a ten, który to mówił, należy do partji, noszącej w tytule słowo „socjalizm". Już to zestawienie wskazuje, do jakich absurdów sięga obóz dzisiejszych władców Rzeszy. Przecież to słówko, za które dziś grożą w Niemczech obozy koncentracyjne, stanowi główną podstawę siły tych ludzi; na nadużyciu słowa „socjalizm", maniąc niem masy, ci ludzie wyrośli, zrobili karjerę, wyrobili swoje pięści, naostrzyli bagnety i rozwinęli zdolności do demagogicznych oracji. Za 50 lat ludzie będą wiedzieli napewno, co to jest marxizm, natomiast p. Göring napewno będzie już należycie oszacowany i znany, jako bohater podpalaczy gmachu Reichstagu.

Z tego, że dziś w Niemczech o tem się nie pisze, nie wynika przecież, że świat uwierzył w oszczerstwa, sfabrykowane w kancelarjach hitlerowskich dość nieudolnie i nie wynika też z tego, aby prawda była nieznana.

Tak, jak w swoim czasie o Rosji carskiej trzeba było czerpać prawdę z t. zw. bibuły i z gazet zakordonowych, tak i o Niemczech współczesnych dowiadujemy się z piśmiennictwa i druków, których debit jest w Rzeszy zakazany, lub nielegalny. Lista gazet, którym wstęp do Niemiec zakazano rośnie z dnia na dzień. Na równi z socjalistycznemi gazetami we wszystkich językach znajdują się tam poważne czasopisma angielskie, jak np. „New Statesman" i „The Nation".

Krąży po świecie ulotka nielegalna niemiecka, zawierająca ścisłą odpowiedź na bezecne oskarżenie o podpalenie.

Stwierdza się w niej, że w domu Liebknechta nie było nigdy żadnych tajemniczych piwnic i korytarzy i że znajdujące się tam ubikacje podziemne były niejednokrotnie ściśle w ciągu 5 — 6 ostatnich lat rewidowane przez policję. Nie istniał nigdy żaden tajny komitet terorystyczny w partji komunistycznej Niemiec, van der Lübbe nigdy nie należał do partji, a poseł Torgler nie znał wcale owego podpalacza. Tenże Torgler wyszedł z gmachu izby o godz. 8 wiecz., a nie o 10-ej, siedział u Aschingera, koło Friedrichstrasse i tam od kelnera dowiedział się o pożarze Reichstagu.

Nie warto przytaczać dalszych ustaleń ulotki, z których wynika jasno, jak na dłoni, że pożar zorganizowali ludzie Hitlera, który jeszcze przed ogłoszeniem wyników śledztwa dn. 28 lutego w 2 godziny po pożarze oświadczył, iż pożar wywołała frakcja komunistyczna Izby.

Po ohydzie kłamstwa nastąpiła nietylko długa i niewyczerpana dotąd lista gwałtów i bezeceństw, ale także zohydzanie i pastwienie się nad bezbronnym przeciwnikiem: napady na poszczególnych posłów i działaczów, a nawet ludzi prywatnych, niszczenie ich mieszkań, wywożenie za miasto, w wyniku czego wiele osób zginęło w Niemczech w sposób tajemniczy.

W Łotwie, zrozumiano, jaka propaganda dzikości i barbarzyństwa ciągnie za hitleryzmem. W sejmie łotewskim odbyła się dyskusja nad wnioskiem socjalistów o zamknięciu wszystkich organizacji hitleryzujących i prasę tego obozu.

W przebiegu tej rozprawy można było dowiedzieć się o dzisiejszem państwie niemieckiem więcej, niż ze wszystkich przemówień wygłaszanych obficie w Niemczech i z bezbarwnych łamów niehitlerowskiej prasy.

Syn prezydenta sejmu łotewskiego p. Bruno Kalninsz, popierając wniosek swojej partji, mówił między innemi:

— Zwróćcie, panowie, uwagę na barbarzyństwa, dziejące się w Niemczech. Wolność jest tam zdeptana krwawym butem Hitlera. W więzieniach znajduje się już około 11.000 ludzi. W piwnicach hitlerowskich katują ludzi w najokropniejszy sposób. A oto, co piszą do mnie w listach: — Panuje w Niemczech niesłychany teror. Trudno policzyć, ilu republikanów zamordowano i ciężko poraniono. Setki ludzi znikło bez śladu. Hitlerowcy grabią poprostu. Przy zajmowaniu gmachów związków zawodowych okradziono wszystkich obecnych. Aresztowanych w domu związków zawodowych bito na śmierć, tych, którzy wytrzymali golono, smarowano głowy farbą i w tym stanie wyrzucano na ulicę. To działo się w Berlinie. A w Królewcu pobitych robotników rozstrzeliwano pod płotem Domu Ludowego. Jeden z hitlerowców oświadczył: — Czego od nas chcecie, przecie nosów i uszów socjalistom jeszcze nie obcinamy!"

Oto jakie zwierzęta rządzą teraz w Niemczech — mówił. — My tutaj występujemy przeciw ich lokajom..."

Bruno Kalninsz zwrócił pozatem uwagę na głębiej sięgające skutki tego zezwierzęcenia:

— Trzeba pamiętać — mówił on — o komplikacjach międzynarodowych, które wywoła ruch hitlerowski. Rząd Hitlera nie będzie w stanie wypełnić swoich obietnic danych tłumom. W masie rozpocznie się — niezadowolenie i wrzenie. Trzeba będzie szukać nowych dróg, aby odciągnąć uwagę tłumu. A jedną z tych dróg będzie — korytarz polski, który już hitlerowcy i tak wyzyskiwali w swej agitacji."

Łotwa nie może wpłynąć na losy i wypadki w Niemczech, ale sejm posłuchał Kalninsza i pomny wiecznej wojny nacjonalizmu niemieckiego z niezawisłością ludów nad Bałtykiem, uchwalił rezolucję przeciw „lokajom hitlerowców" większością 41 przeciw 14. W mniejszości głosowali Niemcy i skrajni nacjonaliści łotewscy, którzy, jak wszędzie nacjonalizm, patrzą w ohydę szalejącego nacjonalizmu hitlerowskiego z nietajoną zazdrością, że nie mogą u siebie wprowadzić w czyn tego samego.

Głosowanie szowinistów łotewskich w obronie hitleryzmu jest charakterystycznym wypadkiem i przypomina o podobnych objawach u nas, gdzie też znaleźli się tęskniący i wzdychający do hitleryzmu.

W okresie szalejącego huraganu, nie brak naturalnie objawów małości ducha, serwilizmu i tchórzostwa. Należą tu takie wypadki, jak deklarcja wydawnictw Mossego, które, zawieszone za prawdziwą wiadomość o pobiciu posła i redaktora w Kolonji, przeprosiły władzę, zmieniły skład personalny redakcji i obiecały być na przyszłość posłuszne.

Należą tu i takie wypadki, jak oświadczenie frakcji socjalistycznej w sejmie badeńskim, że poseł Neumann, który strzelał do znęcających się nad nim pachołków nacjonal-socjalistycznych, jest warjatem, albo wreszcie oświadczenie socjalisty w sejmie würtemberskim p. Ulricha, że „ nie uchyla się od rzeczowej współpracy z nowym rządem". To oświadczenie nie uratowało go zresztą od zaaresztowania natychmiast w gmachu sejmu. Wszystko to są próby ratowania życia, połączone jednak z utratą sensu tego życia.

Najdalej pod tym względem gotowa jest pójść zapewne partja centrum katolickiego, której wydaje się, że uratuje jakiś cień legalizmu, pertraktując o „rzeczową współpracę" z rządem wyuzdanego gwałtu i bezprawia.

Naród niemiecki milczy, a krzyczący i bojujący jego rząd zasłania swoim ponurym cieniem cały horyzont międzynarodowy. W tym cieniu, odbywają się jeszcze jakieś pozbawione realnego znaczenia narady genewskie, w tym cieniu podróżuje do Rzymu lądem, powietrzem i morzem premjer angielski Mac Donald, sądząc tak, jak centrum na terenie wewnętrznym, że via Mussolini „ułoży się" z Hitlerem i zapewni pokój na terenie międzynarodowym.

Mrzonki te rozwieje brutalna rzeczywistość, niosąca ze sobą nieunikniony, a logiczny rozwój wydarzeń. *St. Gr.*

LISTY DO „EPOKI"

I.

Od chwili ukazania się jedynego w tym rodzaju tygodnika, jakim jest „Epoka" jestem wiernym jego czytelnikiem. Poważna, głęboka treść artykułów, poruszająca najistotniejsze zagadnienia naszych czasów, oświetlająca możliwie najdokładniej dokonywujące się gwałtowne zmiany w życiu politycznem, społecznem i gospodarczem, a przedewszystkiem odważna, szczera krytyka obłudy, złej woli, kłamstwa i przewrotności — oto, jak widzę, linja wytyczna „Epoki".

Z zadowoleniem znalazłem w numerze 12-tym „Epoki" artykuł pani Olgi Ustupkiej p. t. „Dola nauczyciela wiejskiego". Przebywam obecnie na kuracji w Sanatorjum Naucz. w Zakopanem, gdzie wszyscy kuracjusze, nauczyciele z całej Polski, to właśnie ci „bohaterowie bez rozgłosu i reklamy", to żołnierzie, w niemodnych cywilnych garniturach, wykonujący ciężką, nie uznaną jeszcze dotąd przez społeczeństwo pracę, których dola zainteresowała autorkę artykułu.

Czytałem go głośno, leżąc wśród kolegów, na werandzie w obliczu przepysznie ośnieżonych Tatr. Widziałem zadowolenie na twarzach słuchających. Z uznaniem wyrażano się o autorce, chwalono tygodnik, który stanął w obronie słusznych praw naszych, do życia w pełnem słowa tego znaczeniu, gdyż dotychczasowa egzystencja większości naszych koleżanek i kolegów, to wegetacja!

Prosimy pana Redaktora, aby częściej umieszczał w „Epoce" tego rodzaju artykuły i w ten sposób przyczynił się do polepszenia warunków odpowiedzialnej pracy.

Zakopane. *Franciszek Gąsiorowski*

II.

Z jednej z najbardziej „zapadłych" wsi naszych kresów nadesłał nam p. Ł. S., nauczyciel szkoły powszechnej, dłuższy list, z którego przytaczamy parę urywków:

„Opuścił już prasę 24 nr. „Epoki". Blisko pół roku... I dopiero po takim okresie piszę.

„Epokę" czytam od pierwszego numeru. I każdy numer. Nieufność, wrodzona u mnie, jako u syna chłopa, nie pozwalała pisać już przed dwoma, czy trzema miesiącami. Rozwaga mówiła: „Już tyle widziałeś różnych pism. Okazywały się efemerydami, albo nie dotrzymywały obietnic i skręcały w drodze, lub zniżały się w dążeniach. Zaczekaj — zobaczysz za kilka miesięcy". Te miesiące upłynęły. I wiem: „Epoka" nie jest efemerydą, nie kluczy, a dotrzymuje przyrzeczeń. Właściwie — więcej daje, niż zapowiadała. Wyszła bowiem bez szumnych zapowiedzi, bez krzyczącej i jaskrawej reklamy, a zapowiadała i przyrzekała niewiele.

Sam „Epoki" nie prenumeruję, czyni to mój przyjaciel. On prenumeruje „Epokę", ja „Wiadomości Literackie", po przeczytaniu własnego pisma, wymieniamy je między sobą.

Tak musimy robić. Żyjemy na wsi: 5 do 9 klm. do najbliższego urzędu pocztowego, 22 km. do najbliższej stacji kolejowej, 22 km. do bibljotek, w których można spotkać przeważnie jubileuszowe wydania Orzeszkowej, Kraszewskiego i Sienkiewicza, trochę makulatury, toczonej przez mole... Jakiś tam tomik Gomulickiego, Dygasińskiego, Urbanowskiej, Junoszy, a z nowszych — Reymonta. Tyle się to razy czytało! Brakuje czytelń, gdzieby można było przeczytać jakieś czasopismo. Teatr w Warszawie — oddalony o przeszło sto kilometrów jazdy koleją. Kino — wyświetla w dalszym ciągu Toma Mixa i jemu podobnych, a zresztą, do kina trzeba „przespacerować" tam i z powrotem 44 km. Bezludzie? Nie — przesada... Ale przedpole kultury.

Prenumerata tygodnika waha się w granicach od 5 do 10 zł. kwartalnie, miesięcznika — tak samo. Dziennik kosztuje około 5 zł. miesięcznie, książka — przeciętnie 10 zł.

A uposażenie — po odcięciu opłat emerytalnych i składek organizacyjnych poniżej 150 zł.

Ach, to nic, że my żyjemy na przedpolu kultury... Ba, przecież my, nauczyciele szkół powszechnych, mamy ten kawał polskiego życia dokoła siebie przetwarzać, mamy promieniować, mamy przeorywać, mamy pracować rękoma po łokcie zakasanemi. My, nauczyciele, jesteśmy wobec tutejszych „niemianowanymi ministrami Rzeczypospolitej". To słyszymy na każdem zgromadzeniu zawodowem, z trybun Sejmu i Senatu, z łamów prasy, z ust przerozmaitych... Słyszymy i odpowiadamy powątpiewaniem, a bardziej porywczy — goryczą.

Widzimy, że do nas — bodaj wszyscy — podchodzą wtedy, kiedy potrzeba poprowadzić jakieś stowarzyszenie lub coś poprostu zrobić. Idzie do nas partja i rząd, kiedy się zbliżają wybory, idzie dyrekcja Polskiego Radja, gdy obniżyła się liczba abonentów radjowych, idzie Biuro Propagandy Konsumcji Cukru, idzie związek przeciwgruźliczy, samorządy, księgarze w czasie tygodnia książki, spółdzielcy, instytucje oszczędnościowe, towarzystwa dobroczynne, Polska Macierz Szkolna, szkoły rolnicze... Ach, trudno wyliczyć, należałoby wymienić tych, którzy nas nie potrzebują.

A co my za to otrzymujemy? Już mi nie chodzi tu o wartości, które w jakikolwiek sposób można wymierzyć... Ale zrozumienia zagadnień oświatowych napróżno doszukujemy się w społeczeństwie.

W imieniu kultury trwamy na harcowisku, które musimy przetworzyć. A ów świat kultury stoi za nami zimny, obojętny, nieraz wrogi. Partja wszelka chciałaby z nas mieć posłusznych wykonawców, kiedy my mamy stać ponad partją. Rząd, wydając ustawę o stosunkach służbowych nauczycieli, godzi w naszą godność obywatelską. Wydawcy, cukrownicy — to przedstawiciele kapitału, który kładzie się ciężarem zdychającego ciała na wszelkie przejawy życia. Z klerem wszystkich wyznań — walka aż do rozstrzygnięcia. Ci inni, którzy do nas przychodzą, to przyczepki rządu, kleru, czy kapitału.

Widzimy ludzi na stanowiskach. Dopiero człowiek na urzędzie ma okazję do pokazania się bez osłonek. I widzimy, jak się charaktery załamują. Kierownik szkoły, inspektor szkolny, wizytator — choćby przed rokiem, czy dziesięcioma laty był nauczycielem, — to teraz już inna kasta. Patrząc na takich „nuworyszów", nie możemy nie przypominać sobie postaci Himmelstossa z dzieła Remarque'a. Smętkiem napełnia takie przemienienie. Widzimy tego pełno wokoło. „Wyzwoleniec", wyróżniony przez przeciwnika politycznego, staje się jego konfidentem; antyklerykał, poklepany po ramieniu przez księdza, jest najgorliwszym w wierze; kierownicy związków i organizacyj zapominają o prostem powiedzeniu, że nie nos dla tabakiery... Wszędzie szpiegowanie: tercjarka — szpieg księdza, włodarz — dziedzica, sołtys, wójt i sekretarz gminy...

Dokoła nas — łajdaczenie się na zdobytych, czy osiągniętych stanowiskach.

Zdrajcy, donosiciele, renegaci, odpadki, — są do dziś w mniejszości. Na szczęście stosunek liczbowy wypada jednak obecnie na korzyść uczciwych. Tymczasem ludzie uczciwi są narażeni na skutki ucisku tamtych. Czemu? Dlaczego w tem świat się paprze?

Żyjemy, mając zawsze dwie drogi przed sobą. Wyrzeczenie się siebie, albo szykany zewsząd.

Brakuje nam takiego oparcia, któreby było poza nami, bowiem oparcie wewnętrzne, najniezawodniejsze — nie jest zawsze wystarczające.

Musi nam ktoś powiedzieć, że demokracja to nie jest niedospany sen, marzenie, że wolność i sprawiedliwość społeczna — to nie fikcje. Epoka Jutra Innego musi nas karmić i ogrzewać już dziś.

Wiara w nią nie jest złudą. To nie są tylko różowe okulary. Właśnie „Epoka" robi to, czego nam, czego mnie potrzeba. I dlatego ślę Wam słowa podzięki serdecznej.

I właśnie tak, jak to robi „Epoka": „bez jakichkolwiek trywialnych sensacyj dziennikarskich", bez „kącików humorystycznych" i „astrologicznych", bez „porad w sprawach erotycznych". Tylko „poprostu jasno, zwyczajnie, po ludzku". „bez stylistycznych nadzwyczajności". Spodziewam się, że artykuły, których nie zamieści żadne pismo ze względów politycznych, partyjnych, osobowych i t. p., znajdą pomieszczenie na kartach „Epoki". Niech „Epoka" będzie trybuną ludzi uczciwych, niech — jak dotąd — będzie wysepką, gdzie obowiązują nie inne prawa, jak prawa sumienia.

Dla mnie, jako jednego z tych, co tkwią na przedpolu kultury, „Epoka" jest nietylko informatorem, ale staje się jedną z nielicznych dźwigni moralnych, jedną ze zwiastunek przyszłości, jedną z głosicielek szlachectwa ludzkiego ducha... Obroną przed zwątpieniem w siebie, w przyszłość i w ludzi".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu M. G. w Sosnowcu. Autorom odpowiedzi na ankietę „Epoki" o współczesnym kryzysie duchowym dajemy pełną swobodę w wypowiadaniu swych sądów. Nie znaczy to, żebyśmy mogli podpisać się pod każdem zdaniem tych odpowiedzi.

Redaktorowi „Odsieczy Wileńskiej". Dziękujemy serdecznie.

TREŚĆ NUMERU

EPOKA

niezależny posterunek myśli humanitarnej, placówka, broniąca praw człowieka i obywatela, trybuna myśli wolnej i bezpartyjnej, pismo, oświetlające najżywotniejsze sprawy naszych czasów, lektura poważna, przystępna i wszechstronna.

EPOKA

daje czytelnikom obfity materjał do rozważań, zdaje sprawę z obecnego stanu rzeczy we wszystkich dziedzinach twórczości i pracy, wskazuje drogi wiodące ku lepszej przyszłości.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in.: *Boy-Żeleński, dr. F. Burdecki, Emil Breiter, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Zygmunt Kmita, Jadwiga Krawczyńska, prof. Edward Lipińsk*i*, Henryk Lukrec, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski, Kazimiera Muszałówna, dr. Eug. Pragierowa, Wacław Rogowicz, Zygmunt Rusinek, Gustaw Simon, Jerzy Stempowski, Andrzej Strug, Janina Strzelecka, dr Mieczysław Szerer, Leon Wasilewki, Józef Wasowski, Alfred Wilecki, Józef Wittlin i Roman Zrębowicz.*

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 2-gi kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma. Prenumerata kwartalna—6 zł. (Konto P.K.O. Nr. 26.630). Załączamy blankiety P.K.O.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-206 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.